

ROZMOWA GAZETY na Wigilię

Janda

JA NIE ZWOLNIĘ,
BO TAK LUBIĘ

Moja siostra powiedziała kiedyś Magdzie Umer: „Daj jej spokój, ona by musiała albo zająć w ciążę, albo złamać obie nogi, żeby zwolniła. Bo złamanie jednej nogi by nie wystarczyło”

Z KRYSYŃĄ JANDĄ
ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

A

AGNIESZKA KUBLIK: Jest pani rodzinna?
KRYSZYŃA JANDA: Bardzo, bardzo. I rodzina jest mi bardzo potrzebna. I te rytuały, które każda rodzina ma. To daje poczucie bezpieczeństwa.

Spotykamy się w ciągu roku, tak „fundamentalnie” i wszyscy, tylko z okazji urodzin i imienin mojej mamy. Przy innych okazjach obecność nie jest traktowana tak obowiązkowo. Ale Wigilie, śniadania w pierwsze dni świąt, rocznice śmierci, ślubów staramy się jednak spędzać razem. Uwielbiam te śniadania, obiady, kolacje. Przygotowuje je mama z gosposią.

Te święta też rodzinne?

- Tak. Święta jak co roku w Milanówku, cztery pokolenia: mama, ja i siostra, nasze dzieci i ich dzieci. W tym roku nie będzie rodziny spoza Warszawy, ale jak co roku będzie przyjaciel rodziny, samotny starszy pan, który już od lat święta spędza z nami. W tym roku będzie trochę inaczej, bo nasze dzieci wyjeżdżają na narty, na ferie, w związku z tym tylko w Wigilię będziemy razem.

Wszystko dookoła bardzo się zmieniło, ale my dalej staramy się być tradycyjni. Choć i nasza rodzina jest rozbita. Zdarzyły się rozwody. Taki czas. Ale w naszej rodzinie więzi, nawet z tymi, którzy są teraz „dalej”, ciągle są, i są silne.

Maria Seweryn, pani córka, jest tak samo silna, szybka jak pani. Tak chciała ją pani wychować?

- To raczej geny. Zresztą dzieci wychowuje się głównie przez przykład. Nie ma silniejszej lekcji niż ta, którą dzieci widzą i słyszą.

Synowie też odziedziczyli ten gen?

- Nie wiem. Mają 22 i 24 lata. Obaj są studentami. I naprawdę są już z innego świata. Są rodzinni, podporządkowują się ustalonym od dawna tradycjom, ale... Jeden z nich żyje teraz w jakiejś dla mnie abstrakcji, fizyka teoretyczna. Twierdzi, że poukladał mu się świat, a był dla niego chaosem, dopóki nie zaczął zajmować się tą fizyką. Wydaje się, że jest szczęśliwy. Pytam: - Co ty będziesz robił po tej fizyce? - Mam bogatą matkę, mogę się zajmować fizyką - odparł. Zobaczymy, to są jego drugie studia. Drugi syn jest studentem amerykanistyki. Zobaczymy.

Kiedy mój mąż umarł, synowie byli nastolatkami. I tego samego dnia stali się dla mnie dorośli, stali się z dnia na dzień moimi partnerami życiowymi. Partnerom życiowym już się nie dyktuje, gdzie mają iść na studia i co mają robić. Powiedziałam: róbcie, co chcecie, ze swoim życiem, ja

was nie będę do niczego zmuszała. Uważam, że jesteście dorośli. Byli bardziej odporni i silniejsi w tamtej chwili ode mnie. Wkrótce się wyprowadzili. Zajął się swoim życiem. Uwolniłam ich. I wcale tego nie żałuję. Wracają często, żeby mnie i babcię przytulić i pocałować. No i pobyć w rodzinnym domu, zjeść coś dobrego i wywieźć walizkę wypranej i wyprasowanej na listek bielizny i koszul. Miłe.

Powiedziała pani kiedyś córce, że jest lepszą matką niż pani.

- Bo jest nadzwyczajną matką. Jest ze swoimi dziewczynkami tak blisko, zawsze razem. Ja nie wpuszczałam jej, kiedy była mała, w nasze życie zawodowe, towarzyskie, nasze obowiązki. Uważałam, że powinna mieć swój bezpieczny świat domu, bajek, książek, szkoły, koleżanek. Domu, w którym są trzy regularne, ciepłe posiłki, deser i śniadania robione do szkoły. Że nawet kiedy nas nie ma, ktoś nakrywa ładnie do stołu, podaje obiad, układa do snu. Niania, gosposia, czasem babcia.

A Marysia często bywa z córkami nawet na oficjalnych czy zawodowych wydarzeniach. Nie ma i nigdy nie miała gosposi, która mieszkała na stałe, jak to zawsze było w naszym domu, kiedy

magazyn
ŚWIĄTECZNY

ALBERT ZAWADA



była mała. Wie o córkach wszystko. Obserwuje je wszystkie trzy z radością.

Co robi pani córka, czego pani nie robiła?

- Pierze, sprząta, robi zakupy, wszystko. A one wszystko wiedzą, wszystko widzą, wszystkich znają, słuchają interesujących rozmów, są świadkami wydarzeń, które na pewno wzbogacają ich życie.

Ja zawsze dziecko trzymałam w jego małym, miłym świecie bajeczek. A potem, kiedy córka miała siedem lat, wyjechałam z nią do Francji i pierwszego dnia posłałam do szkoły w obcym kraju, z obcym jej językiem, tłumacząc, że to konieczność. Pamiętam też wyrzuty sumienia, że spędzam z nią za mało czasu, że kariera zbyt mnie pochłania. Nocami, po całym dniu pracy, nagrywałam jej książki na kasety, które, jak mówi, pamięta do dziś. Staralam się w czasie mojej nieobecności dać jej poczucie bezpieczeństwa. I sobie. Żeby móc pracować. Więc telefonicznie sprawdzałam, czy poszła do koleżanki, czy mama koleżanki ją odwiedziła, czy było miło, czy poszła spać. Ale to było trochę osobne życie. Marysię w dużej mierze wychował mój drugi mąż, Edward Kłosiński.

Dla Marysi jej córki są partnerkami, przyjaciółkami, koleżankami, mają 16 i 9 lat.

Polityka przy stole rodzinnym?

- Rzadko. Czasem coś komentujemy, denerwujemy się czymś, najczęściej ja z mamą. A moich synów to nie bardzo obchodzi. Głosują, ale polityka nie jest im potrzebna do niczego. Ale zdumiewa mnie, że i tak wszystko wiedzą i widzą. Na każdy temat mają zdanie, choć ich opinie są dużo mniej emocjonalne niż moje czy moje mamy. Rano wchodzi do internetu - tak zaczyna dzień - i wiedzą, co się wydarzyło, w cztery minuty. Czytają newsy, zamykają komputer i koniec.

W cztery minuty nie dadzą rady dowiedzieć się wszystkiego...

- Ale poznać najważniejsze fakty - tak. Dowiadują się, że umarł Mandela, wiedzą, kim był, a jeśli czegoś nie wiedzą, to sobie googlują. To pokolenie żyje bez naszych lęków, obaw, telewizji, gazet, fobii, „musów”, mają internet. Czytają książki w internecie, słuchają wykładów profesorów z całego świata. Marysia z kolei jest

bardzo emocjonalnie związana ze wszystkim, co się dzieje w polityce. Ale to jest część naszej pracy, musimy być au courant. Zajmujemy się ludźmi, więc życie publiczne jest częścią tej pracy, częścią życia, sztuki, teatru.

W pani polityka wzbudza emocje?

- Tak, choć mnie to męczy i nie chciałabym, żeby tak było. Aż tak. Ale jest. Nic na to nie poradzę. Emocje wynikają z tego, co tu przeżyliśmy, poczucia wspólnoty po latach męki, pewności, że to mój kraj, moi krajanie, że jakkolwiek byśmy inaczej myśleli, to wspólny los. Nie czuję się osobna i nigdy nie czulam, nawet będąc długo za granicą. Prowadzę dużą fundację, która służy ludziom. Polakom. Współkonstruujemy ten nasz świat. Czuję się odpowiedzialna i zobowiązana.

Jestem też zależna w dużym stopniu od tego, kto rządzi. Kiedyś myślałam, że taka zależność ma miejsce w socjalizmie. W kapitalizmie też. Tyle że z innego powodu. Teraz nikt nie może niczego zatrzymać, nie ma cenzury, ale to, jak myśli władza o kulturze i do jakiego stopnia kultura jest dla władzy ważna, wpływa na na-

szą egzystencję. Mam poczucie, że nasza fundacja jest dla państwa partnerem, ale czy państwo jest dla nas partnerem, mam czasem wątpliwości.

Nie jest, mówi pani o tym od lat.

- To niby drobiazg, ale widzę, kto z polityków chodzi do teatru, kogo interesuje teatr. Pani prezydent Warszawy nigdy na naszych spektaklach nie była. Może chodzi gdzie indziej?

Ratusz daje fundacji na obłę sceny 600 tys. zł rocznie.

- Tak, to znaczy: nie. To była umowa trzyletnia. Właśnie się skończyła. Złożyliśmy nowy plan działania naszych teatrów, znów trzyletni, z wieloma szczegółami, co było naprawdę trudne, bo jak można ustalać obsady, rozmawiać z reżyserami o czymś, co będzie za trzy lata, jeśli będzie. No trudno. Nie przypuszczam, żeby państwowe teatry miały obowiązek składać tak szczegółowe plany, z przewidywaniem, ilu widzów zobaczy konkretne przedstawienie.

Dokończenie na s. 6 ►►

ROZMOWA GAZETY na Wigilię

►►► Dokończenie ze s. 5

i co z tego ma mieć miasto, co państwo. Mamy wiele misyjnych tytułów, naszą działalność i jej rezultaty widać. Wiemy, że musimy zrobić około dziesięciu premier rocznie, aby utrzymać przy nas publiczność. Do teatru chodzi w Warszawie określona liczba osób, wciąż ci sami w zasadzie. Trzeba ich „zaspokoić”, żeby ich nie stracić. Dobrze, że nie musimy dawać premier co tydzień, jak to było za czasów Modrzejewskiej.

Żeby zrealizować plan artystyczny, przy naszym minimalizmie produkcyjnym musimy mieć minimum 2,5 miliona rocznie. Państwo, miasto, ministerstwo nam tyle nie dadzą, a raczej światłe komisje przyznające te granty. Kolderka jest krótka, chłodna i wszyscy się biją o miejsce pod nią. Musimy sami zarobić na utrzymanie, granie i w lwiej nęcej na produkcję także. No i nie wolno nam się pomylić. Koszty stałe i artystyczne - około miliona miesięcznie. No i do tego nowe produkcje. Musimy dużo grać, żeby się utrzymać.

I co wieczór zarabiać co najmniej 16 tys. zł.

- Najlepiej więcej. Koszty dzienne utrzymania teatrów, budynku, czyli koszty stałe plus koszty wieczoru. Żeby aktorzy wyszli na scenę, muszą być opłaceni, elektrycy muszą być opłaceni, bileterzy, maszyniści, perukarze, fryzjerzy, taniemy. Nudzi mnie mówienie o tym, ale... To tak trywialne. Zamiast mówić o repertuarze, planach artystycznych, sukcesach, klęskach i marzeniach, mówimy o tym. Ale to wciąż Polska transformacji, a ja muszę oceniać każdego dnia, na ile oplaca się finansowanie „szaleństwa artystycznego”, czyli sztuki trudnej, wieloobsadowej lub kontrowersyjnej w wymowie. To smutne.

Zarabiacie wystarczająco co wieczór?

- Na 60 tytułów, jakie mamy, zarabia naprawdę około dziesięć. Te dochodowe gramy tak często, żeby zarabiała na resztę.

Poza tym inna rzecz produkcja, jeszcze inna eksploatacja. Jeżeli wchodzi na scenę dwójka, czwórka aktorów, szóstka, i to niedrogich, to jest jeszcze OK. Ale gdybym chciała zrobić „Wesele”, a marzę o tym, lub jakiegokolwiek Szekspira, to jest co najmniej 21 osób na scenie, i nie dam rady.

Jest pełna widownia, gdy gramy „Konstelacje”, „Danutę W.”, „32 omdlenia”, „Kalinę”. Czyli hity, no i spektakle „śmieszne”. Ale gramy też inne tytuły, jesteśmy z nich dumni. Oczywiście wtedy też jest publiczność, ale tylko 150, 200 osób. A przecież dookoła krajobraz teatralny zamglony. Nie bardzo jest na co iść. Tylko trzy, cztery teatry grają regularnie, reszta jest w kryzysie - finansowym, artystycznym, organizacyjnym. To jest jak pomór.

Jest źle. Nie pamiętam, żeby było tak w środowisku za mojego życia, poza czasem komunizmu oczywiście. Żeby środowisko było tak skłócone i podzielone, a kryteria artystyczne zafalszowane, a raczej niejasne. No, w międzywojniu było jeszcze gorzej, teatrów co prawda było chyba 35 w Warszawie, tylko kilka dotowanych, kilka dofinansowywanych, inne musiały radzić sobie zupełnie same, a poza teatrami podobnie - kontrasty społeczne, nienawiść, antysemityzm, doszło do zabójstwa prezydenta.

Dziennikarz „niepokorny” odparowałby pani, że teraz jest gorzej, bo u nas doszło do zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej, a rząd to ukrywa.

- O tym nie mówmy. Nie znam nikogo, kto by wierzył w ten zamach. No, może jest ktoś w moim otoczeniu, tylko o tym przy mnie nie mówi. W teatrze, czy ktoś wierzy w zamach, czy nie wierzy, czy jest sympatykiem PiS, czy kogokolwiek innego, musimy wyjść na scenę i spektakl musi być dobry. Kiedy słyszę, że aktorzy zaczynają mówić o polityce, uciszam ich natychmiast. Tu nie ma miejsca na wzajemne niechęci, tu musi wszystko działać sprawnie.

W rodzinach jest to samo. Żeby nie było awantur, nie mówi się o polityce. I czytelnikom radzę, drodzy Polacy, jeśli chcecie spokojnie przetrwać święta, nie rozmawiajcie o polityce. Macie rodziny podzielone, jestem tego pewna. A dzieci tego słuchają, dodatkowo. Słuchają języka nienawiści.

Zagrałaby pani w filmie Antoniego Krauzego o Smoleńsku?

- Nie! Wykluczone. Nie z lęku, broń Boże, z wyboru, choć... u nas, w Teatrze Polonia, gra pana Jowialskiego Marian Opania, który przez jakiś czas bał się mieszkać w swoim domu.

Bo odmówił i powiedział dlaczego, bo uważa Jarosława Kaczyńskiego za postać „wątpliwą mo-

ralnie”, której wieloletnia działalność jest „szkodliwa”.

- I zawiadomiono go, że szykują się pod jego domem zadymy, demonstracje, nie parkował tam samochodu, bał się, że mu go spalą. Jeśli dojdzie do produkcji filmu, prawdopodobnie prezydenta Lecha Kaczyńskiego będzie grał inny pracujący z nami aktor. I dalej wszyscy będziemy się przyjaźnić, nie przewiduję, że będzie inaczej.

Ala cały czas robi pani teatr dla inteligenta.

- Robię teatr jakby dla siebie. Na mój gust, mój temperament, moje emocje i moje poglądy. A ponieważ jestem przeciwna w tym sensie, że podoba mi się to, co bardzo wielu ludziom, to ludzie przychodzą tu i czują się tak jak ja, czyli dobrze. Podoba im się i mają poczucie, że nie tylko nie stracili wieczoru, ale przeżyli coś ważnego. Dla mnie to, co robimy, jest ważne.

Jestem coraz starsza, mam coraz mniej siły, coraz mniej entuzjazmu, coraz bardziej się denerwuję absurdami. A niesprawiedliwości wciąż nie mogę znieść. Ale jestem maszyną do grania. 300 spektakli rocznie to jest 600 godzin na scenie przed ludźmi. Znam ich, wiem, co myślą, jak czują i kiedy są zainteresowani jakimś tematem, kiedy nie. Lubię ich i się ich nie boję. Uważam ich za naszych przyjaciół. To oni nam dają żyć.

Jeden z największych pani stresów to gdańska premiera „Danuty W.”. Na samym początku, przy podawaniu dat urodzin dzieci, pani zamilkła.

- Myślałam, że zwariuję z nerwów. Jestem autorką adaptacji scenicznej. Pani Danuta usiadła na widowni, a ja miałam jej opowiedzieć jej życie według mnie. I Jego życie, bo był i Lech Wałęsa. Zaczęłam wymieniać imiona dzieci, daty ich urodzin, które jednocześnie były datami przełomowymi w historii Polski, i... dostałam ataku paniki, wydawało mi się, że umie-

Mój syn żyje w jakiejś takiej abstrakcji, fizyka teoretyczna. Twierdzi, że mu się poukładał świat, bo był dla niego chaosem, dopóki nie zaczął zajmować się tą fizyką. I jest szczęśliwy. Ale życie go nie bardzo interesuje. Pytam: - Co ty będziesz robił po tej fizyce? - Mam bogatą matkę, mogę się zajmować fizyką

ram. Prezydent Wałęsa myślał, że po prostu zapominałam tych dat.

I powiedział: „Proszę się nie martwić, ja też nie pamiętam”.

- Tak, tak, mówi o tym pani Danuta w książce, że pytany przez dziennikarzy zawsze czytała te daty z dowodu osobistego. Pani Danuta okazała się przy tej pracy absolutnie nadzwyczajną osobą. Tuż po premierze zapytałam, czy jest zadowolona, odparła: „Nic nie słyszałam, bo cały czas patrzyłam, jak reaguje mąż”. A potem dopiero, na trzecim spektaklu, zaczęła słuchać. Podobało się jej.

Andrzej Wajda mówi o Wałęsie: „bohater naszych czasów”. A Danuta? Bohaterka naszych czasów?

- Absolutnie. Jej książka jest bardzo kobieca i bardzo bolesna. Ja w teatrze traktuję ją w kilku momentach tej opowieści w kategoriach tragedii antycznej. W pewnym momencie mówi: „Nie sprawdziłam się jako matka. Jako żona tak”. Jej opis sierpnia '80, a szczególnie jesieni po strajku sierpniowym, jest obywatelski, zobaczony z jej perspektywy. Kończy dzisiaj, jako osoba pogodzona: „Wiele spraw nie potoczyło się tak, jakbym sobie tego życzyła, ale ja, Danuta, jestem szczęśliwa”. Nie napisała - ja, Danuta Wałęsa, żona Lecha Wałęsy, jestem szczęśliwa, ja Polka, ja matka, ja kobieta jestem szczęśliwa... Ja, Danuta - trochę ta książka jej w tym „poczuciu wartości” pomogła, zyskała osobowość, jest prawdziwie obecna.

„Występuję z Kościoła, instytucjonalnego oczywiście”, deklarowała pani dwa lata temu. Wtedy zakon marianów nałożył na księdza Adama

Bonleckiego zakaz publicznych występów. Obowiązuje do dziś.

- O, to był rodzaj gorzkiego żartu, sparafrazowałam przy tym słowa piosenki mojej przyjaciółki Magdy Czapińskiej o Bogu, który ma nie najlepszy personel naziemny... Zresztą wiara od dawna była moją osobistą sprawą, obchodziłam się bez pośredników. Rodzina męża jest w części protestancka, moja - katolicka. Od jakiegoś czasu wolałam obrządek protestancki, podejście do życia, pracy, człowieka, Boga - dużo surowszego, spowiedź powszechna, poziom rozmowy mnie zachęcał. Kościół katolicki mnie zawiódł, poza tym nie podobał mi się spektakl, msza święta jako spektakl. Proszę tak na mnie nie patrzeć, tak, kościół od strony „spektaklu” potrafi być okropny. To, co teraz śpiewają w kościele, jest po prostu żałośnie naiwną grafomanią, w ogóle tego nie mogę słuchać.

A chodzi pani do kościoła?

- Teraz już nie. Niedawno, zresztą z potrzeby chwili, poszłam, niestety, była msza, myślałam, że będę sama, kiedy ksiądz powiedział: „Dawajcie datki na odbudowę kościołów na Białorusi, nie dawajcie na ukraińskie, bo Ukraińcy was zabijali”. Wyskoczyłam z kościoła i powiedziałam: koniec, koniec! Potem zdarzyło mi się słuchać księdza, który darł się na nas w kościele, że jesteśmy jak błoto... No nie, nie chcę tego słuchać.

Choć oczywiście zdarzyło mi się trafić na kazania nadzwyczajne. Pamiętam, moje dzieci były małe, siostry urszulanek w Milanówku zaprosiły z Warszawy księdza, aby odprawił mszę w święta. Mówił jak z krzewu gorejącego, pięknie i mądrze. Do księdza Lemańskiego też bym mogła chodzić co niedziela. Mądry, uczciwy, otwarty ksiądz, piękny człowiek.

Pani wierzy?

- Tak, tyle że teraz to moje prywatne rozmowy z Panem Bogiem.

Papież Franciszek zmieni Kościół?

- Może mu się udać, bo to, co chce zrobić, wydaje się wynikać z jego przekonania, a nie z kalkulacji. Ale papież jest daleko, nie można na niego liczyć. A pośrednicy się zmienili, prawda? Czy się mylę?

Kościół u nas właśnie znalazł sobie wroga: ideologię gender i feministki. Dla wielu biskupów gender to coś gorszego niż „nazizm, maolizm i marksizm”, bo „rozbiła rodziny”, jest „głosem szatana”.

- Ostatnio o Kościele dużo i źle, więc myślę, że w tej chwili muszą mieć kogoś, coś, do zatakowania, żeby odwrócić od siebie uwagę. Coś, kogoś „gorszego” niż oni. I znaleźli. Feminizm w Polsce to dobry obiekt do ataku.

Feministki nie są lubiane.

- Nie są. Ale też się nie starają być lubiane. Są elitarne w tym niedobrym sensie, agresywne, hermetyczne w języku. Są jak teatr awangardowy, niewielu go rozumie, a on ma pretensje. Gdyby umiały inaczej rozmawiać, byłoby postrzegane lepiej.

Pani nie jest feministką.

- Taka etykieta nie jest mi potrzebna. Natomiast ani nie protestuję, że jestem, ani nie protestuję, że nie jestem. Jestem człowiekiem, to moja identyfikacja.

Feministki w Danucie Wałęsowej od razu się zakochały.

- A ona im tupie i krzyczy, żeby odeszły precz, bo nie jest żadną feministką. Dobrze powiedział Krzysztof Materna, pisząc laudację na cześć pani Danuty przy okazji na-

grody za książkę, że ta książka to największa manifa, jaka się w Polsce zdarzyła. W pewnym sensie tak.

W ogóle wydaje mi się, że niewielu ludzi rządzących umie rozmawiać, komunikować się efektywnie. Albo są zbyt populistyczni, stosują najtańsze chwytły, mówią „nieprawdźwiwie”, to określenie z teatru, ale rozumiemy, co ono oznacza, albo nie mówią w ogóle, nie wyjaśniają, czekają, że przyschnie. Wydaje mi się, że proste próby podsumowań, sprawozdań, porozumienia się, wyjaśnienia byłyby owocne. Ja nie rozumiem połowy rzeczy z tego, co ten rząd kombinuje. Może nie muszę, ale chciałabym. Wszystko jest zbyt drobnym druczkiem, zawilym językiem lub zaniechane w sensie komunikacji między władzą a narodem. Powinni regularnie rozmawiać.

Jak Kuroń kiedyś?

- Tak, jak Jacek. Bo jeśli mają kłopoty, to ja chcę wiedzieć, jakie i co zamierzają z tym zrobić. I dlaczego coś NIE. Jak mawiał jeden reżyser: „Na NIE to ja mam Sophię Loren”.

Chodzi pani na wybory?

- Oczywiście.

I wybiera mniejsze zło?

- Moją ostatnią akceptowaną całkowicie partią była Unia Wolności.

Parytety pani popiera?

- Podobają mi się. Inaczej się nie da wyrównać szans. Trzeba to trochę załatwić na siłę.

W biznesie też?

- Biznesu bym nie dotykała. Jak kobieta naprawdę ma talent do biznesu, to sobie da radę. W naszej fundacji są prawie same kobiety. Decydowały umiejętności. Potrzebujemy „wariatorów”, prawdziwych zapaleńców. Ani moja córka, ani ja nie jesteśmy osobami, które wolno myśleć czy mało pracują. Więc jak się ktoś z nami nie wyrabiał na zakrętach, to sobie poszedł. Mężczyźni mówią: idę do państwowego teatru, bo będę miał tam dwa miesiące wakacji i regulowane godziny pracy. Poprzedni menedżer naszych teatrów, mężczyzna, powiedział mi, że nie życzę sobie, abym dzwoniła do niego po godzinach pracy. Pracuje dziś w państwowym teatrze. „Wariaci” zostali.

Czyli kobiety.

- „Wariaci” obojga płci. A kobiety, tak, są niesamowite, głównie jeśli chodzi o umiejętność organizacji i tzw. trudne sytuacje, szczególnie ludzkie. Mam z nimi absolutne poczucie bezpieczeństwa. Wiem, że jak ja czegoś nie domyślę, to one na pewno już to pomyślały, a co więcej - już działają...

A gdy zachodzą w ciążę, idą na urlop, jak pani sobie z tym radzi?

- Niestety, nie zachodzą! O, jak ja bym chciała, żeby one zaszyły! Bo, niestety, w fundacji na razie rodzą się dzieci w większości mężczyznom. Marzę, żeby one zaszyły w ciążę, żeby znalazły partnerów na swoim poziomie. Bo one są wspaniałe, piękne, samodzielne, inteligentne, dużo czytają i mają tak dobrze poukładane w głowie. A my im tu, w fundacji, będziemy te dzieci chować. Do naszego teatru wolno przychodzić z psami, kotami, rybkami. I z dziećmi, byle były cicho i nie przeszkadzały widzom.

Może kobiety mają za wysokie oczekiwania wobec mężczyzn? Socjologowie mówią, że potrzebny jest nowy kontrakt płci, bo stary - ona w domu przy dzieciach, on przynosi pieniądze - już nie obowiązuje.

- Mają, moim zdaniem, minimalne oczekiwania. Czasami słyszę te rozmowy z partnerami i ze zdziwieniem rejestruję, że jest problem, żeby pan wstał przed jedenastą. Chociaż raz.

Może to muzyk grający po nocach?

- Nawet na pewno.

Przed rokiem, na 60. urodziny, życzone pani, żeby pani zwolniła.

- Od 20. roku życia składają mi takie życzenia. Moja siostra powiedziała kiedyś Magdzie Umer: „Daj jej spokój, ona by musiała albo zająć się ciążą, albo złamać obie nogi, żeby zwolniła. Bo złamanie jednej nogi by nie wystarczało”.

Ja nie zwolnię. Bo tak lubię. Bo tak mi dobrze. To mój organizm i mózg tego chce, mnie tak gna. Mnie trzeba życzyć, żebym miała siły to tempo utrzymać. Ja chcę mieć te wszystkie problemy, które mam. ●